



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

W TARNOWIE.

I.

Pełni świeżych wrażeń wracamy z Tarnowa; chcemy się dzielić niemi z łaskawymi czytelnikami i czytelnikami *Bluszcza*; zawsze na wstępie spotykamy trudności w wyborze sposobu opowiadania. Obiektywne tylko przedstawienie wewnętrznej, treściowej strony zjazdu byłoby najodpowiedniejsze, ale jakże tu pominąć zewnętrzną, dekoracyjną stronę rzeczy, która tak działa na zmysły naocznego świadka i na fantazyą słuchacza czy czytelnika? Nie bez interessu byłoby także rozumowanie o Towarzystwie, jego sprawach i zjeździe, na tle obecnych stosunków galicyjskich, a w odniesieniu do naszych—nie bez interessu byłoby rozpatrzenie sprawozdań, statutów, wydawnictw, bądź z łona towarzystwa, czy jego zarządu płynących, bądź pośrednio do niego się odnoszących. Słowem, sprawozdawca nasz widzi się w położeniu owego malarza z piosnki ludowej, któremu chłop kazał na jednym obrazku przedstawić, nietylko swój wizerunek, żony, dzieci, służby, wójta, gospodarstwa, wsi, kościoła, i t. p.—ale i wszystkie przemiany, zjawiska, wrażenia, myśli, jakie się w życiu sielskiem lub na jego wspomnienie nasuwają. A gdy jeszcze sprawozdawca przypomniał sobie krótki termin, jaki ów chłop naznaczył, a do tego groźby, w razie niespełnienia zamówienia: widzi się w położeniu

bardzo zbliżonym do owego malarza, obiecuje wszystko na czas wykonać wyznając jednak, że to będzie nie „obraz“, ale tylko popularny artykuł literacki. Com widział, słyszał, czuł, rozumiał i wyrozumiał, opowie sposobem kronikarskim.

XVIII-ty walny zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie nęcił ku sobie więcej jeszcze, niż inne poprzednie; złożyły się na to różne okoliczności a przede wszystkim interesujący program i porządek dzienny, zapowiedziane odsłonięcie pomnika Brodzińskiego, tudzież obecność delegatów czeskich. Pod przewodnictwem burmistrza miasta, p. Rogojskiego, zawiązał się komitet z pięćdziesięciu kilku członków złożony, celem uroczystego przyjęcia i serdecznego ugoszczenia uczestników zjazdu. Dać bezpłatne mieszkanie, obiady, urządzać festyny, wycieczki, uczty dla 400 przeszło przybyszów—nie jest to rzeczą łatwą w mieście prowincjonalnem, liczącem do trzydziestu wprawdzie tysięcy mieszkańców, ale niezamożnym, z których połowa blisko nie wchodzi w rachubę, jako z ciemnego złożona żydowstwa. Mimo wielkich trudności zwłaszcza w tak niekorzystnych warunkach, komitet wywiązał się z zadania znakomicie: przyjęcie było rzeczywiście uroczyste, a ugoszczenie prawdziwie serdeczne. Dziesiątek dni dobiega od czasu, jak opuściliśmy Tarnów, a ciągle jeszcze przesuwają się w naszej wyobraźni czarujące wspomnienia dni pełnych wrażeń i chwil podniosłych.

Za dowód skrupulatności, z jaką komitet postanowił ponieść różnorodne trudy, z takim przyjęciem związane, posłużyć może choćby ta okoliczność, że rozdzielił się na siedm oddzielnych komisji, z których każda zajęła się swoją gałęzią, jak: przyjmowanie i zawiadamianie przybłych (informacyjna), rozmieszczanie ich (kwatunkowa) zarządzanie i nadzorowanie obiadów w kilkunastu restauracjach (obiadowa), organizowa-

nie wycieczek (wycieczkowa), dekorowanie miasta i przygotowanie sali posiedzeń (dekoracyjna), urządzenie festynu, uczty pożegnalnej (festynowa), wreszcie—ogólny zarząd i kassowość (rachunkowa). Piękne nowe metalowe napisy, umieszczone po rogach, świadczyły, że Tarnów przed zjazdem przypominał sobie nazwy swych ulic. Czyścioci miasta pilnować miało sześćdziesięciu *ad hoc* zamiataaczy. Sprowadzono z Krakowa kompletną kapelę 57 pułku piechoty. Wszystko to dowodziło, że komitet miał czem rozporządzać i nie szczędził wydatków. Koszta przyjęcia wynosiły parę tysięcy guldenów: 700 wpłynęło podobno ze składek dobrowolnych, 500 z kassy miejskiej, 300 od Rady Powiatowej; reszta z funduszów Towarzystwa i z opłat za karty uczestnictwa, po półtora guldena wynoszących. Takie wielkie przygotowania, taka uczynność i ofiarność, świadczą, że inteligentniejsza ludność rozumie doniosłe znaczenie szkoły i dostojność stanu nauczycielskiego, i to właśnie w chwili, gdy w wyższych sferach panują prądy nieprzychylnie temu kierunki. Niewtajemniczeni w stosunki miejscowe, nie możemy oddawać tu publicznego uznania imiennie osobom, którym ono się należy; widzieliśmy tylko, że duszą zjazdu był Br. Trzaskowski, znany lingwista, dyrektor miejscowego gimnazjum, założyciel Towarzystwa Pedagogicznego (1868) pełen inicjatywy i wpływu, a mimo wiek podeszły, energiczny i sprężysty do pozazdrośczenia; podziwialiśmy także niezmierną czynność Romana Vimpellera, prof. gimnazjalnego, prezesa Oddziału Tarnowskiego Towarzystwa Pedagogicznego.

Komitelowi czynni byli na dworcu kolei przez cały dzień 16 Lipca. Południowym pociągiem od strony Lwowa przybyły główne zastępy pedagogów. Mniejsza ich liczba przybywała od strony Krakowa. Z pewnym gorączkowym pośpiechem dążyliśmy do dworca kolei w Krakowie, spotykając już po drodze towarzyszy i dawnych znajomych. Koło nasze znalazło się w jednym przedziale

PIOSNKI RÓŻOWE.

NIE WIEM.

Powolny wasz sprawozdawca, którego imię niech w wiecznej pozostanie tajemnicy, zasiadł obok profesora literata, sezonowego zastępcy Redaktora „Czasu“, młodego bruneta o arystokratycznych manierach i pod jego protekcją śmieje się spoglądał na wielkościkrakowskie, sławne wymową i powagą. Mały, ruchliwy ale z acny brat koroniarz, znany literat i czechofil, zagaił rozmowę westchnieniem w stronę Czech skierowanym. Wtem konduktor wprowadza dwóch podróżnych, których nie omieszkali zgromić „delegat Czasu“, gdyż walizka jednego z nich, obtarła proch z obuwia jego. Dla przejednania zagniewanego zarekomendowali się, wyrzekając się magiczne słowa: „Delegaci czescy!“ Łatwo zrozumieć zmianę frontu, łatwo pojąć że czechofil w siódmym był niebie, już jako pierwszy przyjaciel, już to jako tłumacz Czechów—w krótkim jednak czasie przekonaliśmy się, że tłumacz zbyt czyny. Dwaj czesi, ludzie sympatyczni w średnim wieku, byli to Józef Kober, nauczyciel szkoły miejskiej w Rudnicy i Jan Mroziński, nauczyciel szkoły miejskiej w Kłodnie, tudzież Sekretarz „Ustredniho spolku jednot učelských v Czechach“. Zostali oni delegowani właśnie przez ów zarząd centralny stowarzyszeń pedagogicznych czeskich i zobowiązani do zdania sprawy ze zjazdu galicyjskiego przed swymi, na zjeździe w Taborze, zapowiedzianym na dzień 6, 7 i 8 Sierpnia. Na rozmowie o stosunkach szkolnych Czechów, którym nieprędko dorównamy w tym względzie, ubiegły bardzo prędko trzy godziny czasu podróży. W Tarnowie lepiej niż wszelkie nadzwyczajne ostentacje, które zazwyczaj zacierają się w tłumie i powiększają zamieszanie, przydała nam się łaskawa usłużność licznych panów komitetowych: wręczono nam koperty z adresami mieszkań, biletami na obiady, kąpiele, uczyły. Miasto znaleźliśmy w odświeżonej szacie, ruch ożywiony, biuro wywiadowcze (informacyjne) nadzwyczaj czynne, ratusz, gmachy szkolne i inne przystrojono dobrowolnie w barwne chorągwie. Ze czią spojrzeliśmy na tablicę pamiątkową, otoczoną wieńcem laurowym na domu przy ulicy Wałowej Nr. 20, gdzie mieszkał Brodziński, będąc uczniem gimnazjum tarnowskiego w latach 1805 — 1809. Przed pięknym gmachem gimnazjalnym z gorączkowym pośpiechem ustawiano pomnik pod kierunkiem artysty prof. Gadowskiego.

Przed wieczorem znaczna część gości udała się do pięknego parku hr. Sanguski, położonego zaraz za miastem we wsi Gumniskach; tutaj przy dźwiękach bezpłatnej orkiestry, przy bezpłatnym podwieczorku, nastroczała się pożądana sposobność zbliżenia osób i wymiany myśli. Przedmiotem ogólnej uwagi byli goście czescy, śpiewano też pod koniec na ich cześć pieśni polskie, rusińskie i czeskie. Dzień ten zakończył się koncertem w sali teatru amatorskiego, danym na cześć gości. Na wstępie młodziuchna amatorka wypowiedziała dość wdzięcznie pełen dobrych intencji, ale bez zalet poetycznych wiersz powitalny, zakończony słowami: „Gdziekolwiek swoje skierujecie kroki, serca Tarnowian tam pójda za wami“. Orkiestra odegrała bardzo poprawnie parę numerów, a między niemi uwerturę z opery: „Tell“ Rossiniego; siły amatorskie miejscowe przy pomocy p. Szulcówny, artystki-nauczycielki i p. Czubskiego, nauczyciela śpiewu i autora śpiewników dla dzieci, złożyły się na ucztę artystyczną, od której nawet podzwrotnikowy upał nie zdołał odstraszyć słuchaczy, szczerze zapelniających teatr.

(Dokończenie nastąpi).

Dzisiaj, gdy się rumieniła,
Róża do mnie przemówiła, —

Do mych włosów przytulona,

Szeptala mi zapłoniła:

Czy ty wiesz, gdy rosą płaczę —

Co ja marzę? co ja znaczę?

Nie wiem!

Nie wiem....

Dzisiaj słowik tak mi nucił,

Tak weselił mnie, tak smucił,

Tak dowodził mi w swej pieśni

O czym nawet serce nie śni...

Ach, i pytał mnie wzruszony:

Czy rozumiem jego tony?

Nie wiem!

Nie wiem....

Dzisiaj chciał mi dać barwinek

Jeden listek w upominek;

Ale ja się przyjać bałam,

Nawet dotknąć się nie śmiałam;

A on pytał mnie miłośnie:

Czy ja wiem, komu on rośnie?

Nie wiem!

Nie wiem....

Dzisiaj kiedy się modliłam,

Jakieś imię wymówiłam, —

O, niechający, mimowoli! —

Lecz wspomnienie to mnie boli,

Smuci, cieszy, lecz wciąż woła....

Może imię to anioła?

Nie wiem!

Nie wiem....

Szczęśna.

POGA WĘDKA.

Wszystko, cokolwiek złożyć się może na nudy martwego sezonu w opuszczonej przez jej najruchliwszą towarzyską sferę Warszawie—weszło już w całej pełni na porządek dzienny i ziewnawszy rzeżko i głośno, można sobie powiedzieć: „oto wytrzymałość nasza stanęła u kulminacyjnego punktu swej ciężkiej próby!“

Pomimo utyskiwania na te ciężkie i bardzo ciężkie czasy, pomimo obawy przed cholera, niepewności sytuacji i rozmaitych ważnych i mniej ważnych punktów, kto tylko mógł, skorzystał ze sposobności, aby uciec z miejskiego bruku, posypywanego przez wiatr kurzem, przez stróżów kamienicznych proszkiem dezinfekcyjnym, przez murarzy gruzem, tynkiem, wapnem i pyłem ceglany.

Jednak wykazy statystyczne nie objawiły na tym punkcie żadnych prawie zmian; Warszawa utraciła jeśli nie większy, to takisam procent swej stałej ludności, jaki utracą corok w tej porze za najlepszych czasów. Można by sądzić, unikając tylko powyższego ubytku, że ani tej wielkiej biedy i stagnacji w interesach, ani tego zniechęcenia i przymusowej oszczędności, o której się z westchnieniami mówi, pisze, dyskutuje—nie ma wcale, a ot, na tym najlepszym ze światów wszystko idzie o tyle przynajmniej najlepiej, że przeciętny obywatel może sobie w czasie kani-

kuły pozwolić małego zbytku na wygodę, jeśli nie u kąpieli zagranicą, to chociażby na letniem mieszkaniu w okolicach Warszawy, może wytchnąć na świeżem powietrzu i zebrać trochę sił do utyskiwania na ciężkie losy i przeciwności w tem biednem życiu doczesnem.

Sezon martwy jest też na prawdę trupio-martwym w syrenim grodzie. Kto nie kona z pragnienia w braku wody lub ze strachu przed epidemią, ten może skonać z nudów w braku wszelkiego towarzyskiego ruchu i życia, pozbawiony wszelkich silniejszych wrażeń estetycznych.

Woda stanowi dziś najbardziej interesujący przedmiot, jest „bohaterką dnia“,—o niej się marzy, mówi, śni, pisze i—gdyby Warszawa dziś wody miała podostatkem, umniejszyloby jej to pragnienia, dodało czystości, pod higienicznym i sanitarnym względem pomogło, ale odebrało by zarazem jeden z ważniejszych tematów zajęcia publicznego, zalewających pustkę naszego życia w miesiącach kanikularnych.

Losy przecież są łaskawe, nie dlatego tylko, że nam w ciężkich na sensacyjne przedmioty czasach wytworzyły kwestyą wodną, ale i dlatego, iż tej kwestyi nie próbują zaostrzyć w rzeczywistości ważniejszymi czynnikami. Niema wody w wodociągach: to prawda—niema czym ulic polewać, niema w czym prać, myć się, gotować; ale nie zdarzają się też żadne nadzwyczajne wypadki, w którychby ten brak mógł się jeszcze dotkliwsiem ukazać.

A broń-że, Panie Boże, od wielkich pożarów, albo od małej epidemijki!... Cobyśmy wówczas dopiero zrobili, zaskoczeni tak nagle?...

Magistrat, zapytywany publicznie przez ciekawą prasę, tłumaczy się, jak może, z zarzutów, że nie może być Mojżeszem, wydobywającym zdroje ze skał, zapewnia, iż i maszyny są gotowe, i filtry do nowych wodociągów przygotowane, i budynki na ich pomieszczenie prawie do połowy skończone,—ale „duchem“ wszystkiego zrobić nie można; a zresztą brak wody jest tylko pozornym: wody nie jest dziś mniej, niż przed kilku laty, tylko konsumpcja się zwiększyła, tylko do prywatnego użytku po domach i publicznego na ulicach zużywają się daleko większe jej ilości: i dlatego wodnie wystarcza w tym samym, co dawniej, stosunku.

Nie kijem go, to go pałką; mniejsza o to, jakie są przyczyny tego braku: dość, że coraz gorzej uczuć się on nam daje i że, jak zbawienia, wyczekujemy chwili, w której ta przymusowa posucha się ukończy, dzięki p. Lindleyowi, czy szczególniejszej łasce Pana Boga, który i bez p. Lindleya ulituje się kiedyś nad spragnionym ludem warszawskim.

Tymczasem mamy przynajmniej zajmować się czemkolwiek, tembardziej, iż wiadomości z Tulonu i Marsylii stają się z każdym dniem mniej interesującymi, a sensacyjne przepowiednie D-ra Kocha o rozszerzeniu się cholery po Europie zdają się przechodzić do wróżb chybionych, ku wielkiemu zadowoleniu nietylko Europy, ale chyba i samego D-ra Kocha z całą rodziną i szeroką jego ojczyzną germańską.

Nie powinno to przeszkadzać wszelako, abyśmy korzystając z okazji, zaprowadzili trochę bardzo pożądanego porządku na „naszych śmieciach“, i zastosowali się do przepisów wydanych przez władzę miejską w interesie dobra i bezpieczeństwa publicznego.

Warszawa skorzystałaby na tem wielce, gdyby tak bez złych następstw pozostawała nawet dłuższy czas pod groźbą niebezpieczeństwa, choćby gdzieś tam daleko za górami.

Możebyśmy mogli nareszcie bez kataru i opuchniętego nosa przechadzać się przynajmniej po niektórych, nawet pryncypalnych naszych, ulicach.

W każdym razie wdzięczni możemy być losom, że nas oszczędziły, jak dotąd, od przekonania się własnem doświadczeniem: jakiej właściwie natury jest zarazek choleryczny i w jakich warunkach, pomimo różnicy zdań lekarzy-specjalistów rozwija się i rozmnaża najbardziej?

Wolimy, aby nauka na naszym gruncie tej drażliwej i niebezpiecznej kwestyi nie rozwiązywała.

Narazie ze spraw bieżących tak mało mamy do wyboru, że żyjemy prawie wrażeniami... przeszłości, a do tych należą, a *conto* przyszłej wystawy kucharskiej doświadczane, emocje znawców i wielbicieli dobrych sosów, smacznej przyprawy, umiejętnie przyrządzanej pieczeni i dowcipnie skombinowanych kompotów.

Wszystko to podzieli nas na „zażarte stronictwa“ w literalnym tego słowa znaczeniu w Styczniu przyszłego roku, gdy turniej gastronomiczny przyjdzie na prawdę do skutku, na korzyść Towarzystwa Dobroczynności.

Sześć działów obejmuje popis kuchni, spiżarni, piwnicy i kredensu; ale mimo wszystkie nawoływania, przypominania, rady i wymogi—pominięto zupełnie dział higieniczno-statystyczny, który mógłby wiele cennych wskazówek na przyszłość przysporzyć i korzyść przynieść nawet żołądkom, poprzestającym dziś jedynie na materialnej treści projektowanej wystawy.

Przypominamy, że pomiędzy wystawcami znajdują się i nasze „tanie kuchnie“, którym powinno zależeć na przekonaniu naszej opinii, czem, jak i za jaką cenę można zdrowo, smacznie i czysto żywić publiczność, a kto wie, czy ta konkurencja wielu naszym rozgłośnym jadłodajniom nie zepsułaby dobrej renomy. Szkoda, że prawdopodobnie nasze spożywcze Towarzystwo „Merkury“ po piętnastu latach istnienia nie znajdzie sobie pola i pretextu do popisu na rzeczowej wystawie; ale mogłoby i ono skorzystać z okazji zrobienia sobie należytej i potrzebnej reklamy. Pomimo tak długiego żywota Towarzystwo to nie mogło zdobyć się w 400,000-cznej Warszawie na większą ilość członków, nad 1824, nie mogło przekonać publiczności, że ma wielką rację bytu i gdyby znalazło więcej poparcia, mogłoby o wiele pożyteczniejszą rozwinąć działalność.

Dzisiaj najwięcej przeciwniczek znajduje „Merkury“ pomiędzy... kucharkami, które na markach wydawanych do miasta nie mogą robić żadnych małych oszczędności w „koszykowego“, więc starają się podkopać zaufanie i smak do produktów sprzedawanych w sklepach Stowarzyszenia; ale gospodynie nasze powinny przekonać się same, o ile ta intryga kucharska jest opartą na pewnych, uzasadnionych danych, i zrozumieć, że wszelka asocjacja we wspólnym interesie, nawet w dziedzinie świeżych i tańszych wiktuałów z pierwszej ręki, ma swoje ważne korzyści i pożytek przynieść może.

Dziś, więcej, niż kiedykolwiek, oszczędność w gospodarstwie domowym jest konieczną, i choć się krup dosłownie nie liczy, a kartofli dwa razy nie zjada, to przecież obliczać się trzeba, bo o kawałek chleba dzisiaj trudniej, niż niegdyś o marmypany.

Nie przeszkadza to, że u wielu ludzi, którym kieszeń zaledwie na wołowinę starczy, spotkać się zdarza bażanty na stole... Taka-to już natura nasza, takie przyzwyczajenie i skłonność do życia nad stan; ale też Towarzystwa podobne, jak „Merkury“ nie istnieją i nie mają na celu zasługiwać się dla owych lekkomyślnych utracuszków, którzy przejadają zwykły całomiesięczny dochód na jednym obiedzie. W tym pominięciu, średnim staniku powinniśmy znaleźć towarzystwo najwięcej członków, i dziwna rzecz, dlaczego ich nie znajduje, kiedy ma tak widoczny cel i wspólny pożytek przed sobą...

Poza wystawą kucharską rok przyszedł odznaczyć się wystawą ogólną-krajową z dziedziny przemysłu i rolnictwa, która odbyć się ma na Placu Ujazdowskim zamiast zwyczajnej wystawy inwentarza.

Powinniśmy popisać się ze wszystkim, co mamy najlepszego; wobec tego, że coraz więcej budzi się u obcych interesu i chęci wyzyskania naszej ziemi, roli, bogactw kopalnych, zasobów nienaruszonych jeszcze, że Francuzi i Amerykanie pragną swoimi kapitałami ożywić nasz przemysł i nasze rolnictwo, — wartoby było obejrzeć się po sobie i dokoła siebie: czy przypadkiem sami nie potrafimy sobie dać rady bez obcej ręki i pomocy, bez dzielenia się zyskami prawie pewnymi przy silnej woli, energicznej inicjatywie i umiejętnej specjalności?

Konsul francuzki wabi do Królestwa swoich rodaków kapitalistów, zwracając ich uwagę na przemysł tkacki niedostatecznie jeszcze rozwinięty i wyzyskiwany; Niemcy jacyś poszukują w Sandomierskiem i Olkuskim minerałów zdolnych do rozmaitych przetworów; Amerykanie godzą się na użycie swych kapitałów w celu eksploatacji naszych zasobów w głębi ziemi i chcą zakładać towarzystwo akcyjne, do którego nawoływał swoich bezowocnie p. Szafarkiewicz, redaktor „Inżynierii i budownictwa“. Dlaczego wszelako sami obcy mają się tem zajmować; czyż to sami angielscy, francuzcy i amerykańscy święci potrafią z naszej gliny garnki lepić?... Rozumie się, że kiedy my nic zrobić nie potrafimy, a nawet nie spróbujemy, lepiej będzie, że nas pociągnie do roboty jakaś obca, zzewnątrz działająca siła, — wreszcie taki ruch lepszy i korzystniejszy od zupełnej bezczynności i zastoju; ale możeby i nam samym bez cudzego przykładu należało raz przecieć zabrać się już do roboty i interesu.

Chyba czas na własną inicjatywę...

Mamy wiele obiecujące na przyszłość Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu, mamy u jego steru ludzi energicznych i przemysłowych, mamy kapitałów dosyć, które marnują się w powolnym i bojaźliwym ruchu: spróbujmy zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Może się uda.

Przedewszystkiem zaś potrzeba wiedzieć dobrze, co za materiał do roboty ekonomiczno-przemysłowej posiadamy; zbadanie własnego dobra, szczegółowe określenie stanu swego majątku, sprawdzenie takiego inwentarza krajowego jest koniecznem; a jednym ze środków do tego może być i wystawa projektowana, której nie można traktować jako zabawki, jako okazji do przyjemnych rozrywek, ale trzeba uważać ją za poważną próbę przekonania się naocznego, na co i o ile liczyć-by w danym razie można, gdyby przyszło poważnie zaryzykować siłę i kapitały w celu podniesienia dobrobytu krajowego.

Miejmy nadzieję, że choć w części wystawa ta odpowie swojemu przeznaczeniu i że interessowani, zrozumiałwszy jej względną pożyteczność, popierać ją potrafią i zechcą gorliwie.

Jeśli się mówi o pierwszym obowiązku poznania swojego kraju, nie podobna nie uznać pracy, która w znacznej mierze dąży do ułatwienia tego jak najszerszemu kołu środkami szczęśliwie najprzystępniejszemi. Mamy tu na myśli pracę kobiecą i tem więcej przywiązujemy do niej wagi. Zdarała się nam sposobność wspominać w tem miejscu niejednokrotnie o „Mapie poglądowej Królestwa Polskiego“, nader starannie dowcipnie, w wielką zręcznością i znajomością przedmiotu wykonanej przez p. Wójcicką. Mapa ta zyskała sobie ogólne uznanie i wiele podziwu na ostatniej wystawie inwentarza w dziale pozakonkursowym. Obecnie staraniem redakcyi *Inżynierii i Budownictwa* obrazkowa ta geografia na jednej kartce, przedstawiająca naocznie granice, właściwości geograficzne, etnograficzne i ekonomiczne naszego kraju według najpraktyczniejszej metody poglądowej, ukazać się ma w wolnej publikacji na drodze prenumeraty. Dla matek, nauczycielek, wychowawczyń, dla kobiet inteligentnych, a pragnących mieć przed oczyma materialny obraz całego kraju, wydawnictwo to nie potrzebuje zachęty i poparcia, jako zaś dzieło kobiecej ręki tem więcej powinno znaleźć uznania u wszystkich poważnie traktujących ten przedmiot.

Zwłaszcza dla matek w „Mapie“ p. Wójcickiej przybędzie środek nader pomocny przy uczeniu dzieci; przypuszczamy bowiem, wbrew wielu pesymistom, iż w rodzinach naszych, nie brak dotąd tych najlepszych i najwłaściwszych nauczycielek, które swój czas i własne wiadomości poświęcają osobiście dla wdzięcznej pracy pierwszego wspaniałego materyalnego i moralnego; przypuszczamy, że podawnemu jeszcze u kolan matki dzieci uczą się pierwszych głosek wielkiego abecadła wiedzy ogólnoludzkiej i rozwijają z powikłków umysłu i serca.

Czyż może bowiem znaleźć się lepsza nauczycielka i lepsza mistrzyni dziecka—nad dobrą i kochającą matkę?... jakż wymowny język znajduje

sobie serce macierzyńskie, jeżeli pragnie zaszczerpieć w sercu swojego dziecka prawdę czy uczucie, rozjaśnić w tej malej, ukochanej głowie isierkę rozumu, skierować myśl w szlachetnym i podniosłym kierunku!...

Są i muszą być takie matki, jakkolwiekby się zmieniały warunki i organizacja naszego rodzinnego i społecznego żywota, bo któż zastąpić je potrafi i może, kto dzisiaj zwłaszcza wpływ macierzyńskiego wychowania zrównoważyć-by potrafił?... Jesteśmy pewni, że i teraz właśnie, w porze wakacyjnej, kiedy zaciśnione są bardziej węzły łączności rodzinnej pomiędzy starszym i młodszym pokoleniem, dobre matki pamiętać będą o swoich świętych obowiązkach, i mając więcej czasu i sposobności do zajęcia się swymi dziećmi, użyją go w szlachetnym celu zasiania ziarn zdrowej nauki rodzinnej w serca i umysły tych swoich następców i następczyń na coraz trudniejszych stanowiskach rodzinnych, obywatelskich i społecznych.

Jesteśmy pewni, a przynajmniej chcemy być przekonani, iż matki nasze wiedzą, jak i czego uczyć im należy swe dzieci, które ta pora właśnie szczęśliwie sprowadziła pod opiekuncze anielskie ich skrzydła w domowe zacisza?

Wierzyć, kochać i ufać niechaj uczą młode dusze: a spełnią swe wielkie i piękne zadania macierzyńskiego wychowania.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Narzekając na stryja, który cały majątek za-przepaścił, zaczął opowiadać, co wiedział o nim, o sobie, potem o Nitosławskich z którymi sąsiedował.

Mówiąc o nich, nie ograniczył się tem, co z toku rzeczy było koniecznem, ale całe dzieje rodziny w sposób szyderski opowiadać zaczął, sięgając czasów starego Nitosławskiego. Wojtek, słuchając go dosyć obojętnie, uderzony został tem, że pan Krzysztof napomknął — z posłuchów o pierwszym ożenieniu się Nitosławskiego z chłopką.

— Wiesz pan co, panie Pruszczyce — rzekł — z sukcesyi po stryju, oprócz ruchomości, kilku strzelb i kulbak, bryczek i uprzęży, niewiele się pożywisz; ale gdybyś mi pomógł to pierwsze małżeństwo Nitosławskiego udowodnić — ja w tem! — mógłbyś na tem zarobić nieźle.

— No! a waćpanu to na co? aby szykanować Wacława i jego brata? — zapytał Krzysztof, masz do nich ząb?

— Nie — rzekł Wierzbietą — ale znam dobrze syna, który z tego się pierwszego małżeństwa narodził, a ten dziś jest w tak fałszywym położeniu, iżbym go rad z duszy ratował.

— Gdzież? jak? syn Nitosławskiego? — zakrzyknął gwałtownie Pruszczyce. — To nie może być! Mów pan...

— Nic panu nie mogę powiedzieć nad to jedno, że go znam i że mnie jego los obchodzi, jak brata. Jest-że to pewna, że Nitosławski z tą chłopką ślub wziął?

— Tak pewna jak, że mnie widzisz żywego — zawołał Pruszczyce, wywijając rękami. — Ksiądz, który ślub dawał, zgodził się potem na zniszczenie pozorne metryki ślubnej, ale chytry popek zniszczył kopię, a oryginał przekazał zięciowi, u którego widziałem ten ciekawy dokument.

Wierzbietą porwał się z siedzenia.

— Na miłego Boga! więc możemy go dostać? — krzyknął. — Zapłacę co zechcesz.

P. Krzysztof nagle ostygł i poglądził się po łysinie.

— Ale bezemnie się nic nie robi — rzekł znającą, kręcąc wąsa długiego...

Straciłem się na podróże nadaremne; po stryju biorę figę: jeżelibym mógł się zrewanżować na metryce, — byłoby na rękę. Darmo zaś tego uczynić ani mogę — ani się godzi odemnie wymagać.

— Ani ja żądam od was tego — zawołał Wojtek. — Porozumiemy się — lecz naprzód zamawiam sobie, że zachowasz pan o tem tajemnicę.

Umówimy się o to, co chcesz zarobić.

— Nie obedrę — rzekł, cynicznie oczy podnosząc p. Krzysztof, ale ja nawykłem handlować i zarabiać — trafię się na koniu — na koniu, a choćby i na człowieku!! Czas płacić, czas tracić!

Zagajona w ten sposób rozmowa przeciągnęła się bardzo długo. Przyparty mocniej, Pruszczyk musiał w końcu przyznać się, że choć metrykę ślubu widział — ale co do wydobywania jej, warunków i t. p., musiał jechać na miejsce, przedsięwziąć kroki właściwe, a dopiero, gdy wyrozumie na miejscu, donieść będzie mógł, jak się to da zrobić.

— Powiem panu — dokończył Krzysztof, śmiejąc się — że tych żółto brzuchów, bogaczy, arystokratów Nitosławskich, gdyby się dało upokorzyć i dać im z chłopianki narodzonego braciszka, toby mi prawdziwą uczyniło satysfakcją. Milionami trzęsą: a gdy konia kupują odemnie, to się o dziesięć rubli targują, jak żydzi.

Mysł uratowania Sylwana przez przywrócenie mu nazwiska — zapaliła tak Wierzbietę, iż chcąc ująć Pruszczyca, dopomógł mu w odzyskaniu szczątków spadku po stryju i na końcu dał do zrozumienia, że może się spodziewać wcale pięknego zarobku, jeśliby obiecaną metrykę potrafił zdobyć, a więcej jeszcze, gdyby i metrykę syna wynalazł.

P. Krzysztof zdawał się mocno tem zajęty, i zarówno nadzieja zarobku, jak chęć dokuczania arystokratom — pobudzały go do działania. Obiecywał natychmiast dać znać Wierzbiecie... i zaprzysięgał się, że dokaże co przyrzekał.

Można sobie wyobrazić, jak Wojtek był rozradowany, uszczęśliwiony, i co mu się marzyło — po tej rozmowie z Pruszczykiem, po kilkakrotnem jeszcze ogadaniu sprawy i zleceniu mu jej na odjeździe.

P. Krzysztof, zasilony pieniędzmi przez Wierzbietę — wyruszył z powrotem na Ukrainę. Wedle jego obietnicy w parę tygodni najdalej miał dać wiadomość o sobie.

Wierzbietę nawet przed żoną się nie przyznał do tego, co knował wspólnie z p. Krzysztofem: raz z przyczyny, że Pruszczyk wcale nie obudzał zaufania; powtórę, iż rzecz się zdawała bardzo jeszcze kruchą i niepewną.

Tydzień, dwa i trzy upłynęły... wiadomość nie dochodziła żadna.

Wierzbietę zaczynał być niespokojnym, z tego powodu szczególnie, że p. Krzysztof w innych rzeczach jawnie kłamał — więc i o tej metryce mógł coś słyszeć, a resztę wymyśleć.

Pisać do niego nie chciał: trzeba było cierpliwie wyczekiwać, ażby się zgłosił. W każdym razie przewlekłe milczenie było znaczącem i nic dobrego nie wróżyło.

My możemy po części odsłonić przyczyny, dla których Pruszczyk się nie spieszył z uwiadomieniem Wierzbiety o metryce.

Wszystko, co mówił o niej, było prawdą — metryka zachowana istniała... a p. Krzysztof, przybywszy do domu, ani dnia nie zwlekał i pojechał na miejsce. przekonał się, że dokument można było dostać — ale ważność jego znał dobrze posiadacz — i, oprócz tego kładł za warunek, aby on przeciwko dziecięciu i jego interessom nie był użyty.

Pruszczyk, pogadawszy o tem, wrócił do domu dla rozmyślenia się lepszego.

Lospotomka Nitosławskiego, urodzonego z chłopianki, wcale go nie obchodził: głównem było zarobić na tem jaknajwięcej.

— Co oni mi dać mogą? — mówił do siebie — parę tysiączków więcej, wątpię... gdy tymczasem

te żółto brzuchy Nitosławskie, aby skandalu uniknąć i braciszka się pozbyć, mogą mi sypnąć suto?

Mysł ta uśmiechnęła się człowiekowi, dla którego wszystko w życiu było grą. Grał na koniach, grał w karty, gotów był stawiać i na metrykę...

Dzień jeden kręcił wasy pan Krzysztof i z sumieniem, nie zbyt dokuczliwym, wchodził w rachunek. Nie czuł żadnej zgryzoty — był przekonany, iż miał prawo myśleć tylko o sobie.

Nitosławski Wacław był w domu: wybrał się do niego. Przystęp do bogatego i niełatwo z kim obcuje panieca — nie był dla każdego otwarty. Krzysztof widywał go tylko zdaleka, na jarmarkach, a parę razy zbliżyć się usiłując, został pogardliwie odprawiony.

Tym razem spodziewał się jednak zyskać posłuchanie.

Z rządcą dóbr pp. Nitosławskich — w swoim rodzaju także potrosze arystokratą, znał się z jarmarków Pruszczyk. P. Buchta raczył z nim czasem rozmawiać, raz konia u niego kupił. Zjechał więc do Buchty na folwark, który daleko piękniej wyglądał, niż dwór p. Krzysztofa.

— Ja tu, mości dobrodzieju — odezwał się wchodząc do Buchty — w bardzo ważnym interresie osobistym przybywam do p. Wacława... ale wiem, że do niego lada szlachcicowi, jak ja, przystęp trudny. Proszę więc o pośrednictwo. Niech pan będzie łaskaw oznajmić, iż interes mnie się nie tyczy, ale pp. Nitosławskich — a jest nie małej wagi. Jeżeli się ze mną rozmówić nie zechcą, mogą na tem więcej stracić niż sądzą... a ja z nikim o tem mówić nie mogę, tylko osobiście z jednym z nich.

Buchta, człowiek z pewnem wychowaniem, gładki, niedowierzający, przeczuł, że szło o wydrwienie grosza; począł badać p. Krzysztofa, ale ten pozostał niemym — i powtarzał:

— Muszę się widzieć z jednym z nich.

Pozostał na folwarku Pruszczyk, a Buchta poszedł do pałacu i nie powrócił, aż w godzinę.

Przynosił odpowiedź że — p. Wacław dał jemu pełnomocnictwo do rozmówienia się z Pruszczykiem.

Obraził się p. Krzysztof.

— Cóż to! Niegodzien jestem z nim nawet dopuszczonym być do rozmowy! a no — to kat go bierz!

Ledwie potrafił uspokoić go rządcza, poszedł raz drugi i po półgodzinnem powtórnem wyczekiwaniu powrócił, zapraszając do pałacu, a razem obwarowując, aby rozmowa była krótka, gdyż p. Wacław gotował się do wyjazdu i czasu nie miał.

P. Krzysztof, w swym stroju na pół bałagulskim, z dumną miną, przeprowadzany przez lokajów w liberyi kamerdynera, dostał się do gabinetu p. Wacława.

Zbytek, z jakim pałac był urządzony, elegancja, pańskość wystawna, goryczą napęliły Pruszczyca i usposobiły go — do wygórowanych żądań...

— Muszą się mi dobrze opłacić! — mrucał idąc.

Pan Wacław, w eleganckim rannem ubraniu, z cygarem w ręku przyjął przybywającego w progu, — stojąc sam i nie prosząc go siedzieć.

Ale grzecznym był bardzo.

— Bądźiesz pan łaskaw — rzekł — jaknajtreściwiej mi powiedzieć o co chodzi, czem mu służyć mogę — gdyż nadzwyczaj mi pilno.

— Panie dobrodzieju — odparł rzeźko Pruszczyk — nie pan mnie, ale ja jemu służyć mogę. Rzecz, krótko a węzłowato ma się tak.

Nieboszczyk papa pański, był *primo voto* żonaty z chłopką i miał z nią syna... Niech pan się nie zżyma i słucha do końca. Dowody, że małżeństwo to było ważne i zawarte istotnie, starano się zniszczyć, ale przecie istnieją — i ja je mam w rękę.

Z temi dokumentami braciszek panów może się upomnieć i o nazwisko — i o fortunę... Hm? Idzie o to: czy jemu mam wydać dowody te — czy dla świętego spokoju, panowie — byście sobie życzyli

może, abym je im wręczył? Rozumie się, iż o to ułożyć się musimy.

Gdy Pruszczyk w tych krótkich słowach grubiańsko, ostro całą rzecz wyluszczał, napawając się wrażeniem, jakie się uczynić spodziewał na p. Wacławie — Nitosławski zbladł naprzód, rzucił się, cofnął, ale natychmiast odzyskał panowanie nad sobą, zaciął usta, przybrał postawę pańską, dumną, wysłuchał do końca, i gdy p. Krzysztof, zamknawszy przemówienie, spodziewał się jakiejś odpowiedzi — chwilę stał Nitosławski niemy...

Zwolna potem ręka mu się podniosła, i niemówiąc słowa, wskazał na drzwi.

Pruszczyk nie chciał zrozumieć tego ruchu.

— Panu dobrodzieju — rzekł wpół szydersko, napół pokorniej już, może być nieprzyjemnem samemu o to ze mną traktować. To się rozumie — Ja tam w targu żadnym delikatności nie mam. Może więc zechce mi pan wskazać osobę zaufaną?

Nitosławski milczał, tylko mu się oczy oburzeniem paliły... i zwolna cofał się coraz dalej.

— Zresztą jest to rzecz namysłu wymagająca, — dodał Pruszczyk — więc zostawiam czas do niego.

Wiadomo gdzie mieszkam, Pańkowszczyzna pod bokiem. Dziesięć dni mogę ofiarować do namysłu...

I na to nie było odpowiedzi. Nitosławski wskazywał ręką drżącą na drzwi.

— Idę już, idę — odparł bezwstydnie p. Krzysztof — nie cofam com powiedział. Życzę się namysłu. Co się tyczy dokumentów, że są rzetelne, prawdziwe i ważne — gotówem poddać je rozpoznaniu ekspertów.

Zatem submituję się.

Spojrzał na p. Wacława — który się dumnie prostował, — uklonił się raz jeszcze i wyszedł.

Buchta czekał na niego w ganku.

Nie spodziewał się pono tak prędko z powrotem; spojrzał mu w twarz: p. Krzysztof miał minę złą i drwiącą.

— A cóż? interes? — spytał, idąc z nim na folwark.

— Przywiozłem propozycją — rzekł Pruszczyk — a jak moje ne w ład, to ja z mojom nazad!! Ma czas do namysłu.

Byli na wpół drogi do folwarku, gdy nadbiegł lokaj z pałacu i p. Buchtę zawołał do Jasnie Pana.

Sam więc już wolnym krokiem szedł p. Krzysztof ku folwarkowi.

— Zalałem paniczowi gorącego sadła za skórę! mówił w duchu... Pokazał mi drzwi — bestya — ale na tem nie koniec. Będzie mnie prosił, abym przyszedł, i za to zapłacił! W targu gniewu nie masz.

Bez ceremonii wszedłszy do eleganckiego saloniku p. Buchty, Pruszczyk siadł i fajkę zapalił, postanawiając czekać na powrót Rządcy. Nie przeciągnęło się oczekiwanie, gdyż w kwadrans Buchta, z głową spuszczoną, kwaśny zjawił się we drzwiach.

— Ma pan co do mnie? — zapytał Pruszczyk.

Rządcza poruszył ramionami.

— Nie mam nic, nie było o panu mowy — odparł zimno.

Przeciwko obyczajowi nie prosił ani na wódkę, ani na przechadzkę, — i p. Krzysztof, popaliwszy fajkę, widząc, że nic nie wysiedzi tu — wstał.

— Zatem i przytem — rzekł — chociaż dziś pan Wacław nie daje mi żadnej rezolucji, jeżeliby się namyslił, — droga do Pańkowszczyzny wiadoma... Ja dni kilka posiedzę w domu i można mnie zastać. Później — nie wiem. Skłonił się Buchcie i — odjechał z niczem.

P. Wacław Nitosławski miał wiele wad i śmieszności; ale w charakterze tym, choć mu mało przyświecało intelligencji — było też wiele szlachetności. Duma jego opierała się na poczuciu uczciwości: nie chciał, aby mu świat miał cokolwiek bądź do wyrzucenia.

Mysł o wykupywaniu dokumentów, aby zatrzeć ślad niemiłych wypadków w sposób podstępny—nieuczciwy, oburzyła go do najwyższego stopnia.

Postępowanie ojca nie było jego winą—wiedział o tem, że za życia zatarto wszelkie ślady tego małżeństwa, że zaprzeczano nawet, czy ono rzeczywiście przyszło do skutku.

Nie wiedział jednak co zrobić, jak postąpić, dopóki-by się nie skomunikował z bratem, który w tej chwili był w Odessie. Ale on i brat, nie tylko z twarzy byli do siebie podobni: sposoby ich widzenia i pojmowania godziły się z sobą. Wacław przewidywał, że brat tak postąpi, jak on—i odrzuci wszystkie propozycje.

Dokumenta—któż wie, mogły być nawet sfałszowane, a całe te grzebanie się w przeszłości, potajemne, z pomocą ludzi, na których łasce potrzeba było pozostać i za milczenie płacić—zdawało się p. Wacławowi niegodnym jego położenia.

— Jeżeli dowody złoży... ktokolwiekby, że małżeństwo było prawne, że ktoś ma prawo nazywać się moim bratem — a nawet odebrać część majątku?—wolę na to przystać niż się wykopywać niepoczciwym spekulantom.

Gadać z nim nie będę!—zawołał gniewnie pan Wacław, wyprawiając list do brata.

Pruszczyce powracił do swojej Pańkowszyny i koni nadrabiając fantazję, ale—dosyć kwaśny. Teraz dopiero, gdy krok spełniony wydawał mu się nadaremny może — sumienie się odezwało także.

— Ale-bo po kiego licha—mówił sobie—miałem się litować nad żółto brzuchami?—Z nimi zawsze gra taka. Wierzbęta mi zapłaci i kwita—a poskrobia się potem—tem ci lepiej. Chciałem uniknąć skandalu...

Nim dziesięć dni upłynęło, przynaglony listem, niespokojny nadbiegł brat p. Wacława. Podzielał on przekonania brata w ogóle, ale z drugiej strony przedstawił mu, że było obowiązkiem ich spełnić wolę ojca.

Ojciec zaś, o czym wiedzieli, wyposażył hojnie sierotę, do której mu się przyznać nie dawała rodzina, dał jej nazwisko, wychowanie, majątek... należało więc może zapobiedz, dla pamięci ojca—aby błąd jego młodości nie został rozgłoszony.

Cały dzień jeden i noc spierali się bracia co czynić; naostatek Wacław, choć z trudnością, zgodził się na to, aby kogoś wyprawić do Pruszczyca, dla rozpatrzenia się w tych dokumentach.

Buchta miał całe ich zaufanie.

Opowiedziano mu treściwie rzecz całą i zlecono się ostrożnie rozpatrzyć.

Pruszczyce już był stracił nadzieję, aby z Nitosławskimi dało się co zrobić, gdy Rządca nadjechał.

— Polecono mi obejrzeć i zdać sprawę z tych dokumentów, o których pan wspominał p. Wacławowi—rzekł po przywitaniu.—Spełniam rozkazy.

Pruszczycowi trudno się było wytłómaczyć z tego, iż dokumentów tych—nie miał w ręku. Zająknął się, splunął, i dodał, że naprzód chce wiedzieć stanowczo, czy pp. Nitosławscy myślą z nim traktować lub nie. Inaczej nic nie pokaże.

— Żadasz pan więc, abyśmy kota w worku kupowali?—odparł Buchta.

— Nie—ale kota z worka nie dobdę, póki słowa nie dacie, że go sobie kupicie. Nie zechcecie wy, znaleźć innego kupca — a może mi lepiej niż wy zapłaci.

Konferencya, naturalnie, przeszła na niczem; lecz Pruszczyce zaledwie się pozbył Buchty, pewny już, że targu z nim dobić muszą, polecił sam nabywać—metryki.

Człowiek, w którego ręku one się znajdowały—zasługuje na to, abyśmy w kilku rysach go odmalowali. Niewielkiego wykształcenia, — marzyciel trochę naiwny—prostego obyczaju, należał on do rzędu tych, wykarmionych biblią i duchownymi pismami, ludzi, którzy mają wiarę i od pewnych zasad nie odstępują. Ubogi, był przy swem ubóstwie dziwnie zrezygnowany i szczęśliwy... obcując ciągle

tylko z ludem i ze Słowem Bożem, miał pogląd na świat zupełnie różny od pospolitych ludzi.

Na modlitwie czasem płakał, a z dziećmi śmiał się podziękującemu. Ludzi takich dziś mniej coraz.

Brakło mu czasem chleba w domu; naówczas książką się umiał pocieszać, a gdy miał trochę więcej w spiżarni, dzielił się z ubogimi z wiarą w opatrność—tak głęboką, iż uwielbienie obudzała.

Człowiek taki nie mógł danych mu do przechowania dokumentów użyć na złe, a Pruszczyce, rachując na jego ubóstwo, zawiódł się najzupełniej.

Poznawszy tę omyłkę, zwrócił się natychmiast w inną stronę i był pewien, że prostaczka uwiedzie, ukazując mu dobyte tych świadectw jako dzieło sprawiedliwości Bożej.

Na nieszczęście p. Krzysztof znanym był na okolicę człowiekiem, — sumienia lekkiego, z którym się należało obchodzić ostrożnie.

O. Leoncyusz wysłuchał go z uwagą, pochwalił jego dobrą wolę—lecz co do dokumentów samych oświadczył, iż tylko osobom, którym one wprost służyć mogły, — wydać je sumiennie jest gotów.

— A mnie to nie wierzysz? — spytał żartobliwie Pruszczyce.

— Możecie się omylić, albo dać się wyzyskać niepoczciwym—odparł zagadnięty.

Ująć tego biedaka zdawało się napozór łatwem; tymczasem bliżej go poznając, przekonał się Pruszczyce że prosty człowiek miał rozsądek zdrowy, który sofizmatami nie dawał się pokonać, i charakter nieugięty. Oboje w tak niepozernej istocie, która się często o buty truszczyć musiała dla siebie i dzieci, — zdawało mu się niepojętem.

— Ten człowiek to prawdziwa osobliwość — mruczał, odjeżdżając. Skarżył mi się, że dzieci chodzą odarte, że sam nie ma do syta się czem najeść; ja mu pełną garść pieniędzy podaję: a on ją śmiejąc się odpycha!!

Uśmiechała się podróż do Włoch Sylwanowi, chociaż takiego pieśczenia siebie i dogadzania słabości niemal się wstydził. Nim ją mógł przedsięwziąć, jednakże musiał wprzód obmyśleć coś i postanowić o losie tych ludzi, którzy matce do ostatniej służyli godziny. Tu ich pozostawić, na tem wygnaniu, które celu nie miało—nie było podobna; sprzedawać Rusinowego Dworu, dla pamięci matki nie chciał, służby tu trzymać się nie godziło. Należało poświęcić coś i powrócić ich tej ziemi, z której wyszli i na której żyć byli przeznaczeni.

O parobków się nie troszczył — gdyby raz ich odprawił i dał im za co ręce zaczepić—sądził, iż poszliby chętnie. Pynia, wyposażona, tak mu się zdawało, chętnie-by też wróciła na Ukrainę; co do starej Tatiany—miał wątpliwość—przeżyła z nimi lat tyle, a człowiek jeżeli się nie przywiązuje to znałogowuje i nawyka.

Jednego dnia, gdy siedział w ganku, a Tatiana, we drzwiach stojąc, w bok podparta, plotła coś o gospodarstwie—spytał jej nagle Sylwan.

— A cóż, stara! Tobie tu teraz tęskno będzie! Wrócić-by ci na stare śmiećka?

— Do czego! do kogo? — szeptała obojętnie, dźwigając ramionami.—Ja tam ze swoich już nie znajdę żywej duszy.

Ezy otarła fartuchem.

— Co innego parobcy—rzekła—tym się tęskni do swoich... a mnie? I mogi! już nie znajdę.

Zaczęła płakać rzewnie.

— Cóż zrobić z Horpynką?—dodał, wymijając, Sylwan.

— Albo ja wiem—poczęła Tatiana—nieboszczka inaczej z nią myślała... ale prędko sobie myśli te wybiła z głowy — a sierota pozostała, do lepszego bytu nawykła. Jak ją tu teraz na głód i pracę wyrzucić! To się biedactwo zamęczy.

— Przecież-bym jej wiano dobre dał — odparł

Sylwan — a dziewczę dorasta i parobka sobie znajdzie.

Zamilkła Tatiana, głową poruszając tylko z jakąś wątpliwością.

I Sylwan się zadumał. Coś przecie postanowić było potrzeba. Nazajutrz zaczął Tatianę znów, ale się okazało, że ona też do dziewczyny się przywiązała. Porzucić ją było jej żal, za nią iść nie miała odwagi, bo Sylwana niemal za własne dziecko uważać była nawykła.

Wola jego musiała rozstrzygać.

— Parobkom dam wyprawę i odprawę: niech tu nie schną na piaskach — odezwał się do starej, — ja do dworu wezmę miejscowych ludzi. Ty, moja Tatiano, pojedziesz z Horpynką i jej skrzynkami i groszem; tam ją gdzieś wydasz lub powierzysz komu, a sama wrócisz tu — gdzie ja zapewne pozostanę.

Z natężoną uwagą słuchała stara, nic nie mówiąc, i zamysliła się, wzrok utopiwszy w ziemi; cichych kilka łez popłynęły po zmarszczonych policzkach; stała jakiś czas, fartuch mniąc w rękę, i poszła, mrucząc coś niewyraźnego.

Co się działo z Horpynką—trudno było zrozumieć. W dziewczęciu grały dwa prądy: ochota powrotu z lepszym bytem, tam, gdzie długo żyła biedną, pochwalenia się swym losem, — i żal po Tatianie, po tym panu, z którym się spoufaliła... który jej był miły... Rozkaz jego w końcu spełnił się wszak że musiał: Horpynka zaczęła skrzynkę ładować, ale w nią lzy padały.

Parobkom też tego pocziwego a bratersko z niemi spoufalonego „Seliwana“ żal było: gdyby słowo rzekł, zostaliby chętnie. Nie rzekł jednak tego słowa.

Nadszedł dzień rozstania, najboleśniejszy dla Tatiany, która chodziła z oczami nabrzękłymi — ale wolą silną, a ta jej gadatliwość nawet hamowała.

Poszła raz jeszcze do izby Sylwana, z tą poufałością dawną, do jakiej nawykła była niegdys, gdy on był młodszym. Położyła mu rękę spracowaną na ramieniu.

— Kazałeś — jadę — rzekła ochryplym głosem—odwiozę Horpynę, ale choć piechotą powrócę. Tu moja stara, jakbym ją widziała, jakbym z nią się wczoraj kłóciła i płakała...

Pozwól, abym tu dni moich dożyła. Oprócz ciebie, których się na oczach moich wychował — nie mam nikogo.

Ciężarem ci nie będę. Gdybym nie zdołała zapracować, za piecem niewiele miejsca zabiorę—a—nasza natura taka, że na godzinę przed śmiercią jeszcze wiadro wody przyniosę.

— Powracaj! powracaj! moja stara pocziwa piastunko! — zawołał Sylwan poruszony — ja ci zawsze rad będę. Wracaj, a czem prędzej tem lepiej, obmyśl jednak pewny los Horpynce, abym ja o nią był spokojny.

— *Ne żurysia!* — zawołała Tatiana — już będę wiedziała co z nią począć. Dziewczę przyszło do kolan się pokłonić zapłakane; ale z oczek czarnych tryskało życie też, które obiecywało, że tęsknicę prędko zgubi na drodze.

Parobcy przyszli zasepieni dziękować—nie mówili prawie nic; więcej żądać nad to, co im bardzo szczerze wydzielił Sylwan, nie myśleli, żal im go było... a razem czuli pewną urazę, że się chciał i mógł obejść bez nich. Jak z braćmi rozstał się z nimi Sylwan—wołając w końcu:

— Pokłońcie się mogi!om naszym i ziemi... Któż wie, może i ja tam kiedy do was przyciągnę...

Gdy się to wszystko nagle rozproszyło, a Rusinowy Dwór pozostał pustką, z kilku psami za całą straż i jednym Sylwanem tylko, który wprzód nowych sług, już ugodzonych, sprowadzać nie chciał, ażby starzy się wynieśli—Rusinowy Dwór wydał mu się jak grób smutnym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZA OCEANEM

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Brazylii.

przez

HELENE NEGRONI.

(Dalszy ciąg).

III. Kraj i ludzie.

Cesarstwo Brazylijskie składa się z dwudziestu prowincji, z których najmniejsza większą jest od całej Francji. Obszar sam nie zawsze bywa bogactwem, ale tu każda prawie pięćdziesiątka ziemi otwiera źródło bogactwa, z którego tylko ludzie korzystać nie chcą.

Zacznijmy od świata roślinnego.

Trzcina cukrowa, wyborowego gatunku, wszędzie dziko rośnie. Nie potrzebuje jej nikt ani sadzić ani doglądać, tak, jak my, na przykład, pielęgnować musimy nasze buraki cukrowe. Dotychczas z dostępnych miejscowości w stanie surowym do Anglii sprowadzana, tam tylko przerabiana była.

Zwróciło to uwagę przemysłowców i w r. 1878 utworzyło się towarzystwo akcyjne w Londynie, które wyrobiło sobie u Rządu Brazylijskiego monopol na zakładanie cukrowni w całym państwie. Towarzystwu temu rokuje ogromną przyszłość; akcje jego zostały przyjęte na giełdzie londyńskiej. Jestto jedno z kilku zaledwie dotąd wielkich przedsięwzięć, istniejących w Brazylii.

Exploatacja lasów stanowiłaby także nieskończone źródło bogactwa. Każde prawie drzewo ma swoją wartość, przytem niesłychana jest obfitość drzew rzadkich i kosztownych, do Europy na forniry z Północnej Ameryki sprowadzanych.

Cóż mówić o kopalniach węgla, najróżnorodniejszych metali, złota, srebra i brylantów?

Handel temi ostatnimi w słaby bardzo sposób odbywa się z Europą przez pojedyncze osoby prywatne, po największej części przez cudzoziemców; ale jestto tylko drobnostka w porównaniu z tem, co w ziemi marnieje.

Widziałam brylanty przywiezione z prowincji Pernambuko przez inżyniera Anglika, z których każdy kosztowałby w Londynie kilkanaście funtów; on je za bagatelkę nabył i rozdał pomiędzy rodzinę. W braku krajowców znowu występują Anglicy i słysząc już o towarzystwie angielskim, które się tworzy właśnie dla eksploatacji kopalni brylantów.

Z zazdrością patrzę na skrzętność i instynkt Anglików, którzy potrafią sobie wszędzie drogę utorować, gdzie tylko praca obfity zysk przynosi. Wszystko umieją wyzyskać, a wychowanie ich domowe, przez rozsądną matkę prowadzone, hartujące ich od niemowlęcych lat, wyrabia w nich muskły żelazne. Nieczuli na zmiany temperatury, upał lub mróz, głód lub niewygodę, wszystko znoszą aby dojść do celu; z niesłychaną wytrwałością i taktem udaje się im nawet zwalczać apatię miejscowej ludności i pracę jej wyzyskiwać; ale gdzie sztandar swój raz zatknęli, tam dla nikogo miejsca już niema.

Kolej Żelazna Północno-Brazylijska, założona przez towarzystwo francuzko-angielskie, dziś zupełnie w ręce Anglików przeszła. Pomimo nadużyć wielkich z ich strony, o których mówiono bardzo głośno, tak ze sobą trzymają solidarnie, że w danej chwili, gdy opinia publiczna, do najwyższego stopnia wzburzona, żądała zdania rachunków i wymiaru sprawiedliwości, niewiadomo skąd i jakim cudem znalazły się kapitały: deficyt pokryto i Francuzów wyrzucono.

Dziś w Brazylii Anglik najzupełniej zawładnął przemysłem i handlem, tak wwozowym jak wywozowym i zalewa kraj wszelkiego rodzaju lichymi towarami, niemającymi zbytu w samej Anglii.

Działalność Anglików tutaj wszakże, choć ma swoją złą stronę, wiele także dobrobytu krajowi przysparza. Dzięki Anglikom Bahia, na równi z miastami europejskimi, ma w każdym domu oświetlenie gazowe, wodę i kanalizację; pokryta jest siecią tramwayów; kolej żelazna o dwóch lub trzech wagonach, kursuje po ulicach wśród miasta, ułatwiając komunikację z drobnymi sąsiedniemi miasteczkami, nad brzegiem Oceanu położonymi, gdzie publiczność europejska rada z kąpiel morskich korzystać, ponieważ woda w porcie jest mętą i zanieczyszczoną. Dzięki Anglikom, zamiast kilkogodzinnej niebezpiecznej drogi, z górnej do dolnej części miasta dostać się można za pomocą elewatora poruszanego parą, w ciągu kilku minut. Jeżeli więc majątki tu robią i handlem zupełnie zawładnęli—niemało zato przysługi oddają.

Jedynym współzawodnikiem Anglików jest jeden z bogaczy tutejszych—człowiek bardzo zdolny, energiczny i zarazem chciwy. Rzucił się on na wszelkiego rodzaju przedsięwzięcia, a mając nieskończoną liczbę niewolników, których praca nie go nie kosztuje, idzie z Anglikami w zawody i stanowi potęgę, z którą oni rachować się muszą. Baron Guai Marynho jest synem wzbogaconych handlarzy Murzynami; nie żałowano na jego edukację; kształcił się w Anglii, skąd wrócił skończonym prawnikiem, i odrazu potrafił wyrobić sobie wysokie stanowisko w sferach rządowych. Świeżo kreowany baron, wkrótce doszedł do najwyższych godności; lecz duma jego obrażona wskutek zawodu doznanego przy współubieganiu się o wysokie dostojenstwo z innym dygnitarzem, kazała mu opuścić stolicę; osiadł w mieście rodzinnem i całą inteligencją i energią zwrócił ku przemysłowi.

Głównem jego przedsięwzięciem jest sprowadzanie mięsa solonego i suszonego ze stanów La Plata. W tym celu zakupił on kilkanaście statków parowych, które kursują pomiędzy Bahią i Buenos-Ayres, zaopatrując całe wybrzeże brazylijskie w mięso tak zwane „Carne-Secon“. Inne zaś jego statki, przeznaczone do przewożenia ludzi, stanowią jedyną komunikację z drobnymi portami przez rzeki z wnętrzem kraju; nie mają one zapewne wykończenia ani wygod statków francuzkich lub angielskich, krążą jednak regularnie i przedstawiają wszelkie rękojmie bezpieczeństwa. Cała na nich służba się z Murzynów, niewolników Barona di Guai, którego imię szeroko słynie na całym wybrzeżu. Stał się on prawdziwym mocarzem finansowym, lecz w miarę jak olbrzymi majątek powiększa, staje się codziennie skąpszym, niemając nawet tej wymówki, że kapitalizuje dla dzieci, bo go Pan Bóg potomstwem nie obdarzył.

Życie tutejsze przedstawia wogóle mało pobawu. Prócz tych, co odebrali wychowanie w Europie, a liczba ich jest bardzo mała, reszta zupełnie jest ciemna, nie czytuje, niezem się nie zajmuje, żyje z dnia na dzień, nie zdając sobie sprawy, że w tem życiu można mieć inny cel, prócz ołśniewania sąsiada pozornym przepychem. Zdarzają się i ludzie zdolni, wysoko wykształceni; ale to są rzadkie wyjątki. Życie towarzyskie, nie posiadając żadnych w sobie warunków, jakich wymagają potrzeby umysłowości, cywilizacji i uszlachetnionych obyczajów, musi się też na niskim znajdować stopniu. Kobiety wiecznie w penioarach, z rozpuszczonemi włosami—boso, pokryte złotemi łańcuchami, bransoletami, pierścieniami i wszelkiego rodzaju biżuterią, cały dzień spędzają w hamakach—dla odwiedzających zawsze niewidzialne.

W Brazylii sprasza się znajomych tylko na uroczystość rodzinne. Główną przynętą stanowi sute podjęcie, rodzaj obiadu z zimnych i gorących potraw, podawanego z rozmaitemi przerwami od dziesiątej zrana do późnej nocy. Każdy nowo przybyły gość zasiada do stołu, o którejkolwiek godzinie przyjdzie, ustępując swego miejsca następnemu, gdy się stół przepełni. Kobiety zwykle zabawiają się w jednym końcu salonu, w drugim panowie, paląc, gawędzą pomiędzy sobą. Taniec tylko zbliża obie połowy rodu ludzkiego, ale i on nigdy nie urozmaica się, nie ożywia rozmową, która w naszych europejskich towarzystwach

więcej zajmuje i więcej znaczy, niż kręcenie się naprawo, nalewo lub w kółko. Salony brazylijskie przypominają kaplice protestanckie. Europejczyk jednak potrafi zawsze zelektryzować tę ospałość, rozbić to milczenie, jeżeli tylko ma dobrą wolę, a przy niej młodość tryskającą zdrowiem, złotą jej swobodę i dar wesołości.

Jedynym sposobem przyjemnego spędzenia czasu jest życie się z rodzinami europejskimi. Europejczycy przyjmują bez ceremonii co wieczór; znają się wszyscy między sobą; a że po największej części są to ludzie wykształceni i obcy w świecie, czas więc wesoło wpośród nich upływa.

Kilka domów francuzkich i angielskich, z którymi w blizkich jesteśmy stosunkach, również jak i dom szwagra mojego, są punktami zbierania się całego towarzystwa. Spędzamy kolejno wieczory jedni u drugich, gwarząc, spierając się i godząc—pod niebem nowego świata o ten nasz świat stary, któryśmy zostawili za sobą.

Murzyni, dla których Pani Stowe tak sympatycznie nas usposobiła, tu w Brazylii we mnie głębokie zajęcie obudzili. Czarnych postaci wszędzie tu jest pełno, na ulicach, po domach—roją się ze wszech stron. W pierwszej chwili sprawiają nieprzyjemne wrażenie. Odrązy doznaje się szczególnie na widok dzieci tarzających się w kurzu, bez żadnego ubrania. Ale do tej brzydoty oko prędko się przyzwyczaja, a kto Murzynów bliżej pozna, ten prędko ich polubi.

Murzyn, choćby najbrzydszy, nigdy nie ma w sobie, w postaci swojej i zachowaniu się, w ruchach i mowie, nic nieszlachetnego. Rzewne, głębokie jego spojrzenie pociąga mimowoli ku sobie.

Kobiety są wysokie, wiotkie jak trzciny, z drobnymi rękoma i nogami, niektóre nawet piękne, podobne do typów etyopskich; z ciemną cerą, zpod której jednak róż krwi przebija, z ustami jak koral, przy lśniącej białości zębów i ogromnych, wyrazistych, smętnych oczach, są one typami dla malarzy, *nota bene*, tylko w stroju narodowym, któremu nie zbywa bynajmniej na malowniczości i bogactwie.

Kokieterya kobieca utorowała sobie i między niemi drogę—ale, niestety, źle zrozumiana, posunięta do śmieszności, bo aż do naśladowania strojów europejskich; a jeżeli niejedna z nich malowniczo wygląda w jaskrawym, czerwono i żółto pasiastym szalu, na bogato haftowanej białźnie, fantastycznie zarzuconym i na ramieniu złotą kłamrą spleśniętą,—pozostawiając drugie ramie i resztę biustu obnażoną,—to stają się prawdziwymi poczwarami, gdy się wystroją w małe, jasno kolorowe, materyalne kapelusiki paryżkie, w kwiaty i pióra przybrane, w toaletach powiewnych, białych muslinowych z przezroczystymi wszywkami i koronkami, w długich powłóczystych sukniach; a takich poczwarek, niestety, niemało w Niedziele na ulicach i placach publicznych widzieć można.

Mówiono mi, że znajdują się między Murzynami ludzie bardzo zamożni, którzy niesłychaną pracą potrafili wykupić się z niewoli i doszli do znacznych majątków; takich szczęśliwców jednak liczba jest bardzo mała: ogół grzęźnie w niewoli, jest własnością, bydlęciem, rzeczą swego pana.

Wr. 1871 uchwalone prawo uwalnia tych niewolników, którzy urodzili się po jego ogłoszeniu, ale dopiero wtedy, gdy osiągną dwadzieścia lat życia; przyszłe więc pokolenie przyjdzie już na świat wolnem.

Jeżeli wpośród Murzynów zdarzają się ludzie czynni i sumienni, to ogół ciąglem poddaństwem jest bardzo zdemoralizowany, tak, że pierwsze ich przejście do swobody będzie nader uciążliwem dla Brazylii.

Dotychczas cała usługa domowa, uprawa roli i roboty publiczne odrabiane są jedynie przez Murzynów. Każdy pan wynajmuje swoje narzędzia żywe, tak do służby domowej, jak i do wszelkich innych robót, zapłatę biorąc, naturalnie, dla siebie. Jeżeli najęty sługa nie pełni swoich obowiązków, to karcenie go należy do jego pana.

Cudzoziemiec żaden nie najmie Murzyna, nie przekonawszy się, czy ten ma piśmienne pozwolenie od swego właściciela; inaczej mógłby być narażonym na wielkie nieprzyjemności. Robi się

Kilka listów z przeszłości

zebrał

Wielisław.

LIST II.

(Ciąg dalszy).

zatem układ z samym panem Murzyną i pieniądze jemu się wypłaca; Murzyn nie do ręki nie dostaje; każdy jednak za pocztową usługę daje mu jakieś wynagrodzenie; z datków takich, wraz z tem co nieszczęśliwe istoty zdołają sobie zarobić wieczorami, po godzinach pracy obowiązkowej, zwolna. Zbiegiem dni, miesięcy i lat dochodzą przy wielkiej wstrzemięźliwości a silnej woli, do urzeczywistnienia ideału wolności. Mała, nieznacząca jest przecież liczba tych, którzyby zdołali celu tego dopiąć. Mimo uciemiężenia, wdzięczność dla panów, gdy są dobrze traktowani, dochodzi do exaltacji; podobne poświęcenia nie zdarzają się u nas w stosunku sług do panów, a prawdziwie rozczulającą jest troskliwość i miłość Murzynów dla powierzonych ich opiece dzieci Białych.

Dzieci własne namiętanie kochają; w najcięższych próbach i niedostatku nie opuszczają ich nigdy. Matka dziecka swego samego nie zostawia. Murzynka nosi zwykle niemowlę przewieszone przez ramię, w dużej chustce, tak, że ono swobodnie na biodrze spoczywa, podtrzymywane ręką. Nieco starsze, również na biodrze posadzone, rączkami i nóżkami samo matki się trzyma. Nieraz Murzynka jedno ma w chustce na ramieniu przewieszone a drugie z przeciwnej strony na biodrze, prócz tego dźwiga ciężar znaczny jak kosz z bielizną na głowie, ręce obiedwie mając zupełnie wolne. Murzyni nigdy nie noszą inaczey ciężarów tylko na głowie; ztąd zapewne zmuszeni dla równowagi prosto się trzymać, wyrabiają sobie ową kształtność i zwinność, której im niejeden Europejczyk zazdrościć musi.

Zręczne do robót kobiecych, bardzo je starannie i gustownie wykończają; hafty ich i koronki odznaczają się rzadką delikatnością. Bardzo piękne i trwałe są hafty tak zwane „tessido“, wcale w Europie nieznane, wyrabiane igłą i cienką nadzwyczaj przędzą na cienkim batyscie, z którego nitki wyciągają w szachownicę i przygotowują zeń tym sposobem tło dla haftu. Kto wyrobów tych nie widział, ten wyobrazić sobie nie może, jak są oryginalne i piękne — zadowolnić one mogą gust nawet najwybredniejszy.

Murzyni mają swoje tańce, ale w nich nic estetycznego. Muzyka brzydka, prawie dzika, bez najmniejszego śladu melodyi. Uderzają poprostu w takt w garnki i rądle metalowe, napelnione grochem, kamykami lub miedzianymi pieniędzmi, a tancerze, stojąc parami naprzeciwko siebie, przyskakują do siebie, aby potem rozpocząć wirowanie na wszystkie strony.

Brak smaku w tańcu nie pociąga za sobą bynajmniej nieudolności artystycznej w innych kierunkach. Owszem, Murzyni mają nadzwyczajną zdolność do improwizowania, tak pieśni, jak i melodyi; z prawdziwą przyjemnością nieraz całemi godzinami przysłuchują się ich smętnym balladom naprędce improwizowanym.

Babia szczyty się „wielkim“ kompozytorem. Tu się urodził i tu skomponował swoją operę zwaną „Guarani“, znany i w Europie Gomez. Wziął on za przedmiot do utworu swego legendę ze świetnych czasów wolności Indyan, z pomiędzy których plemię Guaraniów odznaczało się łagodnością obyczajów a walecznością i cywilizacją górowała nad innemi.

Oglądałam temi dniami upominek ofiarowany przez damy brazylijskie ukochanemu mistrzowi. Pomysł niefortunny chociaż sam prezent drogi. Jest nim lira zrobiona z piór białych, trzy ćwierci łokcia długa i odpowiednio szeroka; wiją się po niej wieńce z kolorowych również z piór wyrabianych, które są bardzo starannie wykończone. Lira ta kosztowała przeszło 2,000 franków, a żadnej ani artystycznej ani realnej wartości nie posiada i w ogóle śmiesznym jest pomysłem¹⁾.

(Dalszy ciąg nastąpi)

1) Takie kwiaty z piór są miejscowym wyrobem wyso-ko tu cenionym.

Nieszczęśliwa opuszczona, nagle dowiedziawszy się o wiarołomstwie swego ukochanego Jasia, dostała rodzaju obłąkania; pokazywano mi ją zdaleka: biega po ulicach Warszawy, dziwnie ubrana, chodzi po kościołach i codziennie gotuje obiad dla oczekiwanej przedmiotu miłości, który nie przybywa — zresztą spokojna, łagodna. Podobno matka tej waryatki przy śmierci przekleła sprawcę nieszczęścia swej córki, i to przekleństwo spadło na familię.

Niekoniecznie rozumiem, za co pani J. także cierpi — ale pełno mamy po świecie takich niewytłomaczonych rzeczy. Za co tyle niewinnych dzieci cierpi takie straszne choroby? Ja wierzę, kochana Ewciu, w skryte oczom ogółu pomszczenie krzywdy ludzkiej; żyjąc w świecie, mało mamy czasu do rozważania takich rzeczy...

Odtąd biedna pani J. nie wychodzi z pokoju zmarłej córki, urządziła w nim rodzaj kapliczki z pamiątkami. Wszystkie jej ubrania, sprzęty, sprzączki, zęby, włosy, poukładane na ołtarzyku, leżą. Ona je ogląda, całuje. Jest to w pewnym stopniu bałwochwalstwo, lecz coś się zrozpaczonej dziwić? Boją się o nią, czy także nie dostanie obłąkania.

Daruj, kochana Ewciu, że list tak smutną zakończam historią, ale dzielę się złem czy dobrem z drogą przyjaciółką, trezorcią moją — *que j'em-brasse de coeur et d'âme*.

Twoja Idalia

LIST III.

Warszawa, d. 16 Maja 1829 r.

Ma très chère. Nie uwierzysz, jaką mi przykrość sprawił list twój ostatni temi czarnymi przewidywaniami co do zdrowia. Mnie się zdaje, że we wszystkim jest przeznaczenie. Pomyśl i uspokój się, moja droga. Ja miałam wuja, co leżał ranny między zadżumionymi, i nie mu nie było. Stryj mój tonął w lodach Berezyny, a od nas młodych, chodzi żwawszy; Minasowicz, poeta, — trzy razy był operowany na raka w języku, przez berlińskich chirurgów — i pełno innych tego przykładów.

Dzisiaj oglądałam dwa kawałki trotoarów, na próbę zrobionych, przed sklepem Kellera na Krakowskim Przedmieściu: jeden z piaskowca szydłowieckiego, drugi z cegły na sztorc kładzonej. Jeśli Warszawa dojdzie do tego kiedy, że będzie miała takie trotoary po wszystkich pryn- cypalnych ulicach miasta, — będzie dobrze chodzić po mieście, bo dziś to wykręcanie nóg po kamieniach dla nieprzyzwyczajonych jest nie do zniesienia przykre. — Mówiono mi, że rzeźnik Słupski wpadł na koncept wybrukowania chodnika przed domem kościoła pozabijanych bydła, a na wiosnę przyszlą, cała ulica Miodowa zostanie trotoary z flizów z checińskiego marmuru.

Wozil mnie także mąż pokazać mi bulwark z ciosowego kamienia, ubezpieczający brzegi Wisły; skoro bulwark ten pociągną aż ku Czerniakowu — jak jest zamiar — będzie tu najpiękniejsza ulica w Warszawie na podobieństwo Paryża. Ale kiedy to się stanie?... Chyba nie za życia naszego.

Bardzo przykrym był dla mnie widok więźniów zakutych w kajdany, którzy do tych robót bulwarowych są używani. Brzęk łańcuchów, ich twarze zbrodnią napiętnowane, sprawiły mi odrazę. Za każdą grupą, skutą razem do tacek, idą żołnierze pilnujący i dozorca z kijem. Dobrze mówi mąż, że darmo chleba nie jedzą i chociaż część tego, co uczciwi ludzie na ich utrzymanie dawać mu-

szą, — pracą odslużają; ale zawsze to wielej biedacy. Sprzedają na swój dochód pierścionki, robione z włosia, koszyczki wyrabiane z pestek, dzbanki z chleba i t. p.

Przy spodziewanym zjeździe na koronację ściągnęło do Warszawy, mnóstwo sztukmistrzów, hecarzy, kuglarzy, skoczaków, błaznów — chyba z całej Europy, tyle tu jest tego. Jest i menażerya, w której są bardzo piękne lwy tresowane. Powiadają, że tam wieczorem chodzić niebezpiecznie, bo jak nic, wezmą i wrzucą w klatkę między zwierzęta dzikie, łakome ludzkiego mięsa. Pełno ztąd baśni. Już nawet stróż miejscy znaleźli, wymiatając, guziki od munduru studenta. — oczywiście, pożartego przez lwy i tygrysy!

Z pomiędzy wirtuozów przybyli tu: Lipiński i Paganini, obaj sławnie na świat cały grający na skrzypcach. Zaraz też utworzyły się dwie partye: polska, trzymająca za Lipińskim i włoską — za Paganinim.

W gazetach ci panowie omal że sobie nie wymyślali. *Gazeta Warszawska* nazwała Paganiniego, rzempolą, podrzędnym, kuglarzem, szarlatanem. *Dziennik Powszechny* podobno przezywał Lipińskiego bałwanem bez czucia i głazem. Za boki się brałam od śmiechu, czytając te artykuły. Jeden Kuryerek chciał godzić wodę z ogniem.

Dowiedziawszy się o tych zwadach, Paganini pierwszy zaproponował wspólny koncert, aby jeden i drugi zagrali jedne i te same sztuki, a publiczność najlepiej osądzi.

Byłam na tym koncercie, w Teatrze Narodowym; mąż mi kupił leżę.

Lipiński grał jak anioł, czysto, spokojnie, poprawnie, bez zarzutu; sam Włoch ze swej łóży, pierwszy bił mu brawa. Ale tensam koncert odegrał następnie Paganini. Znowu biją brawa, aż tu strona pęka; artysta coś dalej na trzech improwizuje; znowu pęka druga, — gra niezmiyszany tem na dwóch; w końcu jeszcze przesłiznie zagrał na jednej, gdy i ta ostatnia się zerwała — dobył jeszcze z samego drzewa kilka dzikich tonów, pokłonił się i zniknął. Publiczność prawie że oszalała; zaczęła go wywoływać bez końca, a on za każdym razem wyciągał Lipińskiego zza sceny, mówiąc, iż nie godzien tak wielkiego mistrza. Dopiero, gdy zaczęto gasić kinkiety, — hałas ustał.

Podobno Lipiński, nie kontent z tryumfów Paganiniego, do Drezną się wybiera.

Z tem wszystkim słyszałam na wieczorze u jenerała Kosscekich, jak jenerał Roźniecki, dyrektor teatrów, wielki znawca muzyki (sam komponuje), zapewniał, że od Lipińskiego i Paganiniego, grał lepiej niejaki Duranowski — ale cóż, zawsze tak mało protegujemy to, co się u nas nie z zagranicy pojawi, że biedak z nędzy rozpił się i umarł w młodym jeszcze wieku.

A propos Kosscekich, powiem ci, jak generałowa rozpowiadała mi sama, że długo nie mogła dojść przyczyny, dlaczego cała jej karetta przeszła gorzałką. Ma ona równie nieszczęśliwie drażliwe powonienie, jak i ja, co o trzy kroki poznam, czy kto pił, i tych perfumów wraz z tytoniem znosić nie mogę. Woń gorzałki sprawiała jej przykrość. Poskarżyła się mężowi — stangret tłómaczył się, że bywają plamy, które wywabia okowitą z zółcią.

Tymczasem wypadkiem dowiedziano się istotnej przyczyny. Ile razy generałowa jechała do teatru, stangret ją tam odwiózłszy, jechał za rogatki i przemycał sporą baryłkę spirytusu od *to-dreśników*. Generał jest osobą zbyt wysoko u rzędu położoną, aby kto śmiał rewidować jego karetę, jednak ktoś zadenuncyował stangreta i tym sposobem się wydało. Ponieważ wódka na wsi kosztuje złotówkę, a w Warszawie wypada na ośm złotych garniec, pod rogatkami więc mieszka mnóstwo todreśników, którzy się z przemykania utrzymują. Nazwano ich ztąd, że długo bezkarnie przechodziła rogatki jakaś żydówka, a tuląc dziecko do piersi uspakajała je do snu słowem żydowskim *todres*; złapano ją w końcu, bo się pokazało, iż dziecko było blaszane, napelnione okowitą.

Wpadają oni na różne koncepta, aby towar zakazany przez rogatki przenieść, noszą ukryty w pęcherzach pod sukniemi, w klocach drzewa

wydrażonych, ale i celnicy mają wyżle nosy. Demoralizuje to ludność, a i tak moralności do zbytku nie mamy, dlatego przeciw tym pomysłom Księcia Ministra mówcy nasi mają przemawiać w Izbach.—Ciekawe będą dyskusye.

Ściskam Cię serdecznie, całując po tysiąc razy w myśli te buzię, oczki i główkę, które tak kocham, że nie umiem wypowiedzieć, a wszystko to niepocziwe, bo nawet na listy nie zawsze odpisuje twojej nazawsze

Idalii.

NB. Jeśli twoje bębny powodem, że matka ich w odpowiedziach zalega, gotowam je znienawidzić.

LIST IV.

Warszawa, d. 2 Czerwca 1829 r.

Kochana Ewuniu!

Co powiesz ty, spokojna i pracowita i dziećmi swemi zajęta, na mnie hałasująca, rozbawiona? Aż się sama przed sobą wstydzę! Doczekałam się naręcznie i sukien—i mam ich zawiele. Doczekałam się balów—i nudzę się niemi. Te bale wszystkie są do siebie podobne. Tensam układ, tesame ceremonie, tasama muzyka i tańce i te same zawsze figury, zimne, sztywne, sobą tylko zajęte. Kłamanie uśmiechy, uśmieszki a bez końca pokłony—i pokłony! Wszystko obrachowane, przewidziane z góry, trzeba jak na komendę, wstawać, siadać i ciągle uważać co każą robić: zdjąć rękawiczkę albo ją włożyć, usiąść tu a nie gdzieindziej...

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Rewolucją w dziennikarstwie przygotowuje Bennett, właściciel gazety *New-York-Herald*. Miliony zarobione na tym dzienniku, posłużyły mu już do wielkich przedsięwzięć: jak wysłanie Stanleya w podróż naukową wpoprzek Afryki od Kongo do Nilu i Zambezi, jak wyprawy podbiegunowe, które własnym kosztem wystawiał, jak popieranie kolosalnych wydawnictw i dzieł użyteczności publicznej oraz miłości bliźniego w New-Yorku. Obecnie część niewyczerpanych swych milionów wkłada Bennett w tensam dziennik, z którego je wyciągnął, i działając już w interesie własnym, spodziewać się może powrotu nakładów z sowitem jeszcze wynagrodzeniem, jakie zapewni wzmógłony dochód z dziennika. Wspólnie ze słynnym milionerem Mackayem, bawiącym w Paryżu — o którego żonie ciekawe rzeczy opowie działu czytelnikom *Bluszczu* niedawno „Nowiny Paryżkie“ — urządza Bennett własną linią telegraficzną podmorską, wyłącznie tylko na użytek *Heralda*. Dość tylko pomyśleć o kosztach takiego przedsięwzięcia, aby sobie wyobrazić rozpowszechnienie i poczytność pisma: jest to prawdziwa potęga. Rozsiani po Europie, Azji, Afryce i Australii agenci, — przysłać będą wiadomości przez siebie zebrane do Londynu, gdzie ma być stolica telegraficzna dla całej półkuli wschodniej — a nie tylko telegraficzna, bo w Londynie również umysłne biuro redakcyjne przygotowywać będzie artykuły rozumowane o stosunkach i wypadkach

czterech części świata półkulę tę składających. Co wieczór prąd elektryczny przeniesie takiego *leadera*, (przewodnik), przez ocean, w nocy drukarnia go wydrukuję, a nazajutrz zrana, w dwa naste godzin po napisaniu w Londynie, czytać go już będzie można w handlowo-przemysłowej stolicy Nowego Świata. New-York dla Ameryki w szczególności spełniać będzie to samo, co Londyn dla czterech wschodnich części świata. Wreszcie, w kolosalnem biurze redakcyi głównej znajdować się będzie zbiornik dla wszystkich potoków wiadomości i rozumowań, w jakich Bennett postanowił codziennie pławić czytelników *New-York Herald*.

Trzęsienia ziemi w Europie. W Zagrzebiu, tak nieszczęśliwie nawiedzonym przed kilku laty w nocy z 19 na 20 Lipca r. b., dało się czuć nowe wstrząśnienie; po dniu skwarowym, w którym ciepło dochodziło w cieniu do 29° R. szalała wtedy naokoło miasta burza. Do dnia 31 Lipca wypadek się nie powtórzył: może więc na tem się już skończy, ale nowe odezwanie się żywiołów wulkanicznych może być także i wróżbą nowego nieszczęścia.

W trzy dni później, d. 23 z. m. na tydzień przed pierwszą rocznicą strasznego zniszczenia Casamiccioli i dwóch innych miejscowości na Ischii, nowe trzęsienie nawiedziło ten kawałek lądu, który wychylił się z głębi wód prawdziwie tylko na straconą placówkę i skazanym jest prawdopodobnie na tensam los, jakiemu uległy Wyspy Liparyjskie. Ludność nie wzięła sobie wypadku zeszłorocznego za przestroję: kogo gruz nie zasypały i ziemia nie pochłonęła, ten pozostał na swych śnięciach. Cudowne gorące źródła Ischii, które leczą nawet chorobę Orcia z *Niebo-skiej* — straszną *amaurosis* — przykuwają do siebie rozbitków z przeszłorocznej klęski: do źródeł bowiem pomimo zmniejszenia się ruchu przybawają ciągle szukający u nich ratunku na zadawione choroby, o których już medycyna zrozpaczyła. Obecne trzęsienie ziemi na Ischii było tak silnem, że wznieciło obawę większych wypadków. Na wyspie, jak wiadomo, istnieje wulkan Epomeo od wieków już nieczynny.

Dobroczytność angielska. Ogrom Anglii przejawia się w całym jej życiu, we wszystkich kierunkach jej działalności. Światła czy cienie, zle czy dobre, duch czy materya, — występuje tu zawsze w wielkiem natężeniu — w wielkich rozmiarach i liczbach. Rzecz by można, że nie tylko handel i przemysł, ale wszystkie inne interesy, duchowe czy ekonomiczne, społeczne czy indywidualne, — prowadzą się tu tylko na wielką skalę. Miliony funtów sterlingów idą corocznie na biednych z funduszów publicznych państwa, hrabstwa lub gminy; dalsze miliony zbierają się jeszcze w drodze ofiar prywatnych, a zbieranie ich idzie Anglikom z dziwną łatwością, jakiej samo tylko ich bogactwo wytłumaczyć nam nie zdoła. Do takiej ofiarności, która nigdy nie zawodzi, a trafia zawsze w porę i we właściwe ręce, potrzeba jeszcze pojęcia obowiązku, wstydu społecznego, zmysłu popychającego do ludzi — ostatecznie cywilizacji i rozkwitającego z niej czynnika: praktycznej miłości. Kto wie: czy ci egoiści, zimni, chciwi Anglicy — nie mają silniej rozwiniętego w sobie altruizmu od nas, co-to przecież zawsze pochopni jesteśmy do ofiar, brzydzimy się egoizmem i materyalizmem i tak lubimy żyć dla innych, że nas przykłady silnie zśrodkowanych, na sobie opartych, własną łódź życia własnymi rękoma prowadzących i na interesie swoje — czujnych osobistości zachodnich, raczej gniewają, niż przywiązują do siebie... Ale do rzeczy.

Dnia 24 Lipca wieczorem odbyła się w South Kensington na dochód szpitali londyńskich zaba-

wa muzykalno-ogniowo-kwiatowa, na której znalazła się cała arystokracja angielska obecna w Londynie, z księciem i księżną Walii na czele, a 25,000 miejsc w ogromnym amfiteatrze literalnie w zupełności zajętych zostało, chociaż cena wejścia wynosiła 1 f. st. Szpitale zyskały tym sposobem 25,000 f. st. (przeszło półtora miliona), w ciągu kilku godzin. Tysiące jeszcze nadto wpłynęły ze sprzedaży kwiatów, owoców, mleka, różnych drobnostek, których zbytem zajmowały się panie z najpierwszej arystokracji. Rzecz prosta: handel w takich rękach musiał iść świetnie. Za szklanek mleka brano wprawdzie szylinga, ale jedna róża, różowemi paluszkami hrabiny Cadogan — prześlicznej podobno kobiety — podana, kosztowała 10 szylingów (przeszło 30 złotych).

Welocypedyści. W Niemczech, tym klasycznym na kontynencie kraju stowarzyszeń, istnieją aż dwa towarzystwa welocypedowe: jedno „niemieckie“, drugie, „niemiecko-austriackie“. Powstaje obecnie i trzecie: *Bicyklistów* t. j. wyznawców systemu welocypedów dwukołowych najnowszego wynalazku, rozpowszechniającego się szybko. O zastosowaniu „bicyklów“ do potrzeb wojskowych myślą nawet teraz we wspólnem ministerjum wojny w Wiedniu. Welocypedy w Niemczech, Anglii i Francji używają wielkiej wziętości. W Paryżu przejażdżka welocypedowa należy do najmilszych zabawek i wchodzi już na normalny etat potrzeb codziennych. W Anglii i Niemczech welocypedy używane są szczególnie na wsiach dla komunikacji potrzebnej w celach zawodowych: lekarz, pastor, posłaniec pocztowy, rzemieślnik wędrowny, nadzorca gospodarstwa, chętnie sobie sprawa welocyped, z którym mniej ma ambarasu, niż z koniem, a posługując się nowem narzędziem lokomocyi na niewielkie odległości, nie doznaje żadnego znużenia. Wysłani z Wiednia uczniowie kursów wojskowych gymnastycznych w ciągu 5 dni na owych bicyklach najnowszego wynalazku zrobili po niewygodnych drogach przez Semmering i leżące poza nim wyniosłości przeszło 300 kilometrów. Dzienniki wiedeńskie taki rezultat słusznie nazywają świetnym. Bicykl waży tylko 22 kilogr. (około 55 funtów), a pomimo takiej lekkości posiada doskonałą wytrzymałość. Każdy jeździec wysłany w drogę z owych kursów wojskowych miał na sobie zwykły ciężar ładunku żołnierskiego, oczywiście, bez broni.

Oba pomienione stowarzyszenia welocypedowe odbywać będą od 16 — 18 Sierpnia kongres w Lipsku.

Łódź przez Ocean Atlantyczny płynie teraz do Europy jakiś kapitan Traynor, który d. 7 Lipca wyruszył z portu New-Haven na wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, a d. 15 Października spodziewa się zawinąć szczęśliwie do brzegów Irlandyi. Łódź sam sobie zbudował, według systemu różniącego się od wszystkich dotychczas znanych; statek ten ma 47 stóp długości. Odważny podróżnik zabrał ze sobą na wszelki przypadek żywność na pół roku.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkuszy 9-my.

TREŚĆ. Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie. — Piosnki Różowe, (poezya). — Pogawędka. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Za Oceanem, przez Helenę Negroni. — Kilka listów z przeszłości, zebrał Wielisław (dalszy ciąg). — Drobnostki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Июля 1884 года.